Nr. 43. We Lwowie dnia 23. Października 1898. Rok 6.



Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

2)

# Obecny stan badań

## nad genezą państwa polskiego.



Znaną jest rzeczą, że pod wpływem kultury starożytnej zostawały liczne plemiona germańskie, nie podległe Rzymowi. Wpływ ten ujawnił się także w wytworzeniu pisma pragermańskiego, t. zw. run, które zawędrowały daleko na północ do ludów skandynawskich i tam długi czas utrzymywały się, jako pismo „święte“, znane przeważnie tylko kapłanom. Porównując z znakami pisma runicznego — herby szlachty polskiej, doszedł prof. Piekosiński do przekonania, że największa część tych herbów opiera się na — runach. Niegdyś analogje były zupełne, ale z biegiem czasu — zmieniły się pierwotne znaki herbów - runiczne np. przez dołączenie do nich krzyżów od chwili wprowadzenia do Polski chrześcijaństwa, przez dodatki w miarę rozradzania się pierwszych szlacheckich rodów i przez modyfikacje przypadkowe. Ten istotny w wielu wypadkach wpływ run na polskie herby — kazał prof. P. szukać praojczyzny polskiego rycerstwa w pobliżu ludów skandynawskich, a wiadomą jest rzeczą, że ludy te, jako drużyny łupieżkich Wikingów, czyli Normanów, zalewały od VIII. w. począwszy, cywilizowane państwa zachodniej Europy; dały początek kilku państwom, na wschodzie zaś założyły Ruś.

Normanowie osiadali także w znacznej liczbie nad brzegami morza Bałtyckiego, na dzisiejszem Pomorzu i stąd wchodzili w różne stosunki z plemionami słowiańskiemi między Odrą i Łabą. Tą drogą — sądzi prof. P., — zapoznali się ci Słowianie z runami i przyjęli je — jako znaki wojskowe: praojczyzna więc polskiej szlachty musiała być wysuniętą daleko ku północnemu zachodowi poza Odrą i stamtąd rycerze ci najechali ziemie nadwiślańskie. Za teorją najazdu przemawia także fakt, że pierwotnie wolna ludność rolnicza polska — znajduje się — od chwili wyłonienia się państwa Piastów — w stosunku ścisłej i ciężkiej zależności od rycerzy i książąt, jako t. zw. chłopi-przypisańcy. Wolnych chłopów nie spotykamy pod rządami pierwszych Piastów — wcale; przeciwnie, książę uważa całą ziemię za własność swoją i swego rodu i z własności tej, jak stwierdza arabski pisarz Albekri, utrzymuje po warownych grodach — liczne rycerstwo, odróżniające się zupełnie od „przypisańców“. Te rycerskie rody mają — zarówno jak ród książęcy — herby, oparte na tematach runicznych, co wskazuje nie tylko na ich obce, acz słowiańskie pochodzenie, ale ponadto jest dla P. kluczem do postawienia teorji dodatkowej o „dynastycznem“ pochodzeniu szlachty polskiej. W dwutomowem dziele o „Rycerstwie polskiem wieków średnich“ stara się mianowicie prof. Piekosiński dowieść, nawet w szczegółach, że wszystkie najdawniejsze rody rycerstwa polskiego pochodzą od młodszych synów dynastji książęcych: Leszków i Piastów.

Rody te jeszcze za Chrobrego poczuwają się do swej dynastyczności i tym tytułem posiadają: 1-mo utrzymanie po grodach ze skarbu książęcego i 2-do nie dopuszczają nigdy z reguły w poczet szlachty polskiej ani chłopów, ani cudzoziemców, ale 3-io, wszelkie nobilitacje możliwe są tylko na podstawie „przyjęcia do herbu“, tj. adoptacji przez jeden z istniejących rodów rycerskich. Po przyjęciu chrześcijaństwa — okazuje się konieczność nadań beneficjalnych dla duchowieństwa; jestto pierwszy wyłom w posiadaniu ziemi polskiej, jako wyłącznej własności rodu książęcego. Z drugiej strony rozradzają się rody rycerskie i dążą także do otrzymania ziemi na swoją własność wyłączną. Książęta ulegają konieczności i Bolesław Krzywousty robi pierwsze nadania na rzecz szlachty,

które odtąd ciągle się mnożą. Nadania pierwotne — ograniczają się do darowizn ziemi bez chłopów; szlachta uprawia rolę tylko przy pomocy swych niewolników, później jednak mnożą się przywileje donacyjne ziemi wraz z książęcymi chłopami i ci ostatni przechodzą wówczas z poddaństwa książęcego, czyli grodowego — w poddaństwo u rodów szlacheckich, a także i pod ich jurysdykcję. Chłop, jako szlachecki poddany — staje się podobnym do lennika; zachowuje się nawet wyraźny ślad zwierzchniej własności księcia nad całą ziemią, a to w formie prawnej, że żaden prywatny posiadacz nie może ziemi swej sprzedać, ani darować, ani też w jakikolwiekbądź inny sposób aljenować bez wyraźnego pozwolenia, względnie potwierdzenia książęcego. Te, źródłowo stwierdzone potwierdzenia aljenacji prywatnych własności przez książąt — są tedy takim „przeżytkiem“ prawnym, który stwierdza nietylko fakt władania ongi całą ziemią przez ród książęcy, ale pośrednio także całą „teorję najazdu“. W ten sposób — genezę państwa polskiego — tłumaczy w myśl tej teorji najazd obcego „dynastycznego“ rycerstwa, który złączył samodzielne plemiona słowiańskie między Wisłą a Odrą w jedną całość pod silnym, wojskowym rządem naczelników szlacheckich — książąt. Jest w takim poglądzie historycznym także analogja z powstaniem państwa ruskiego z tą modyfikacją, że Ruś złączyli Waregowie, a Polskę rycerze słowiańscy z ziemi, sąsiadującej z Normanami i podległej ich wpływom cywilizacyjnym.

Krytykując podstawowe zapatrywania prof. Piekosińskiego, zakwestjonował prof. Małecki przedewszystkiem główny punkt wyjścia teorji „najazdu“, tj. runiczny początek herbów i „dynastyczne“ pochodzenie szlachty polskiej. Przeciwnie — szlachtę polską uważa p. M. za żywioł rdzennie polski, herby zaś za równie polskie znaki chorągiewne, tudzież później za czyny wojenne — przez książąt nadane. Tylko co do szlachty małopolskiej robi prof. M. w „Studjach heraldycznych“ pewien wyjątek — wskazując, że rycerstwo to mogło w części przybyć z Moraw. W tem, że państwo polskie powsta o jednak przez różniczkowanie się wolnej ludności na rodową szlachtę i poddanych-chłopów, tudzież przez powstanie i wzrost władzy książęcej — zgadza się prof. Małecki z p. Piekosińskim, ale wykazuje zarazem, że wyłonienie się szlachty z wspólnego pnia ludowego — nie można uważać na rezultat „najazdu“, ale za powolny rozwój społeczno-gospodarczy i polityczny Polski — głównie pod wpływem konieczności odporu przeciw zaborczym niemieckim sąsiadom. Jeszcze w XIII. w. doszukuje prof. M. w „księdze henrykowskiej“ — wolnych — polskich chłopów, przechodzących już jednak stopniowo w poddaństwo książęce i szlacheckie. Ze względu, że podwójna nazwa źródłowa Polaków: Lechici i Polacy (Poloni) była długi czas — jeszcze przed prof. Piekosińskim podstawą teorji najazdu np. Szajnochy, omawia prof. M. „mrzonki lechickie“ w swoich „Lechitach“ i dowodzi, że podwójna nazwa jednego i tego samego narodu polskiego — nie może w żaden sposób być dowodem, że kiedyś jacyś Lechici najechali Polan; przeciwnie Lechami nazywali Polaków pierwotnie tylko Ruś i Grecy, w Polsce zaś nazwa ta ukazuje się po raz pierwszy dopiero w Kronice mistrza Wincentego. Swoją drogą „kwestji lechickiej“ prof. M. wcale jeszcze ostatecznie nie rozstrzygnął: mimoto jednak zachwiał bardzo silnie poprzednimi swymi pracami całą teorję najazdu i utorował drogę dla teorji — dopatrywania się genezy państwa polskiego w samodzielnej społecznej ewolucji. Wspomniałem już, że zapatrywania prof. M. przyjmują w zasadzie także profesorowie: Bobrzyński i Balzer, co wcale jednak nie przeszkadza ostatniemu, że dopatruje się w pierwotnej Polsce — silnych dopływów rycerstwa obcego, jako najemnych zaciągów książęcych, jakto źródłowo stwierdza Gallus dla czasów Chrobrego.

(Dokończenie nastąpi).

*Dr. K. J. Gorzycki.*



# Nieznany utwor Korzeniowskiego.

(Józef Korzeniowski. „Nasza prawda.“ Scena z życia Polski w r. 1863. W Brodach, nakładem i drukiem Feliksa Westa 1898).

Wsetną rocznicę urodzin Korzeniowskiego i w dzień odsłonięcia jego pomnika w Brodach, pojawiła się na półkach księgarskich malutka, zaledwie 14 stronnic obejmująca książeczka, łabędzi śpiew wielkiego naszego dramaturga. Utwór ten, dyktowany prawie na łożu śmiertelnem przez schorzałego starca, jest tak dalece różnym od wszystkiego, cokolwiek Ko-

rzeniowski w życiu napisał, że warto mu już z tego tytułu poświęcić słów kilka i bliżej się z nim zapoznać.

Klemens Kantecki, pierwszy z biografów Korzeniowskiego podał wiadomość o tym utworze w dziele „Dwaj Krzemieńczanie“, a to na podstawie informacji córki pisarza, p. Falkenhagen-Zaleskiej. — Wiadomość tę powtarzali i inni, przypuszczając, że są to sceny z obrazów dramatycznych, osnute na tle najnowszych wówczas wypadków krajowych.

Dopiero w ostatnich czasach, wnuk pisarza, p. Józef Korzeniowski, u którego „Nasza prawda“ przez długie lata w rękopisie spoczywała, podał z okazji pierwszego wydania bliższe szczegóły o powstaniu tego utworu, a zarazem przyczynę, dla której go pierwej nie można było ogłosić. Schorzały mianowicie i umierający już prawie pisarz dyktował rzecz tę w chwilach wolnych od duszącej go astmy, córce swojej p. Falkenhagen-Zaleskiej w lipcu r. 1863 w Francensbadzie w Czechach. Po ukończeniu popoprawiał gdzie niegdzie ołówkiem i drżącą już ręką napisał dedykację: „Córce Maryni na pamiątkę i do schowania“. Po śmierci pisarza nie mogła rodzina wcielić rzeczy tej do zupełnego wydania dzieł jego, ze względu na cenzurę rosyjską i zdecydowała się wydać ją dopiero teraz.

„Nasza prawda“ nie jest sztuką dramatyczną w ścisłem słowa tego znaczeniu, lecz raczej wierszowaną i w dramatyczne formy przybraną broszurką polityczną o treści następującej:

Na małej polance w lesie, siedzi przy ogniskach gromadka młodych ludzi i opatruje broń, z którą za chwilę wyruszy na bój krwawy z wrogiem narodu. Z drugiej strony nadchodzi orszak starców i patrzy przez chwilę z politowaniem na młodzież, która tymczasem wstaje i z uszanowaniem ich otacza.

Te dwie grupy, to symbole dwóch ustawicznie walkę w duszy człowieka toczących pierwiastków, tj. młodzieńczego zapału i chłodnego rozsądku, to zarazem obraz stanu duszy samego autora, u którego na wiadomość o wybuchu powstania, ta sama walka wybuchnąć musiała, i skończyła się zwycięstwem zapału.

Starzy zabierają pierwsi głos i usiłują nakłonić młodzież, by nie szła do walki, która ze stokroć silniejszym wrogiem jest niemożliwa i nigdy zwycięstwem skończyć się nie może. Argumenty jednak, z jakiemi przeciw niej występują, słabe są i jakieś mdłe. — Widocznie w tak ważnej i stanowczej chwili odezwały się w sercach ich dźwięki dawno przebrzmiałe, zawrzała krew ognista i długo tłumione poczucie krzywdy. Starają się odwieść od krwawej walki, ale z obowiązku tylko, który do włosów ich przyrósł siwych:

„Nie idźcie dzieci. Naszą siwiznę
„Uczcijcie. Bóg nam zbawi Ojczyznę
„Inaczej.

Bo przecież nie ten jest najlepszym synem ojczyzny:

„Który umniejszy przyszłe jej siły,
„Który pomnoży tylko mogiły;
„Lecz gdy od dziecka, nie szczędząc siebie
„Jej wsi, jej miasta z gruzów wygrzebie
„I swą nauką i ukształceniem
„Pracować będzie nad jej zbawieniem.

Na to odpowiadają młodzi z wielkim zapałem, gotowością do ofiary i rezygnacją.

Wiedzą oni dobrze, że walka z tak potężnym wrogiem musi być krwawą, że więc i oni śmierć poniosą i bez pogrzebu rozsiane trupy w polu zostawią, lecz:

„. . . . wielkim prawdom tylko ofiary
„Dają świadectwo. A tak nie marną
„Będzie śmierć, która zapłodni ziarno
„Przyszłości.

A kiedy po bitwie przyjdzie matka na pobojowisko, szukać zwłok syna,

. . . . . kiedy się z bliska
„Przypatrzy zwłokom, co bez nazwiska
„Leżą, zbryzgane krwią jeszcze ciepłą,
„Z modlitwą tylko na ustach skrzepłą,
„To, bohaterstwo widząc bez sławy,
„Uwierzy w świętość naszej wyprawy,
„Wróci do domu uspokojona;
„Nad łożem dziecka błyśnie korona
„Z cierni, a w niej się wzmocni ta wiara,
„Że jej jedynak padł jak ofiara
„I choć bez grobu, gnije gdzie w lesie,
„Przez śmierć ojczyźnie zbawienie niesie.

Taki zapał młodości, gotowej na śmierć bez sławy, udziela się także starszym:

„Dzieci, słów waszych słucham ze łzami
„I rozum z wami i serce z wami,

powiada jeden z nich, a zaraz następnie dodaje:

„Bo w życiu ludów są takie chwile,
„Gdzie rozum musi ustąpić sile,
„Wyższej natchnienia, które Bóg zsyła,
„Aby się wielka prawda ziściła.
„Chwila ta przyszła i nic nie zdoła
„Stłumić jej głosu, który was woła
„Na śmierć.

W ten sposób przemawia ich kilku, wyprowadzając na jaw wszystko, co przez długie lata w głębi serca ukrywać byli zmuszeni, wszystkie krzywdy narodowe i męki, olbrzymią miłość wolności, a nadto i to że:

„. . . . trzeba jeszcze dowieść to światu,
„Że tak ćwiertować lud w moc traktatu
„To czyn bezbożny, dzieło przeklęte,
„Choć je potwierdza przymierze święte.

Błogosławią wreszcie zapałowi młodzieży, która z pieśnią „Boże coś Polskę“ wyrusza na pole walki, sami zaś zaczynają modlitwę:

„Boże-człowieku, krwawa ofiaro,
„Królu w cierniowej koronie,
„Weź w swą opiekę młodzież, co z wiarą
„Poszła umierać w obronie
„Tej ziemi, która krwią jej zroszona,
„Powstaje dziś odrodzona.

Wkrótce słyszeć się daje za lasem silny ogień rotowy. Po krótkiej chwili jeden z młodzieńców wychodzi cały krwią zlany i umiera na rękach ojca, ze słowami „niech żyje Ojczyzna!"

Zaraz po jednorazowem przeczytaniu ogarnia czytelnika zdumienie i pewne niedowierzanie. — Jakto? czy mogło coś podobnego wyjść z pod pióra człowieka, który, jak zgodnie świadczą wszyscy jego biografowie, nigdy w całem swojem życiu nie kierował się zapałem, który jeszcze w młodości w drukowanej w roku 1816 „Odzie na rok 1815" składał hołd carowi Aleksandrowi I., jako temu, „co wyrwał ze zniszczenia mocy, naddziadów naszych siedliska" i pokój Europie zapewnił. Wiadomo przecież, że Korzeniowski nawet w listach do narzeczonej nie zapalał się i nie idealizował, jak wszyscy prawie w młodym wieku, lecz przekładał chłodny rozsądek nad zbytnią uczuciowość.

Tych kilka kartek „Naszej prawdy" to testament polityczny i patrjotyczny Korzeniowskiego, to wielka i nasza prawda, wysnuta na łożu śmiertelnem jako wynik długiego i pełnego pracy życia dramaturga.

Krytyk literacki mógłby ze stanowiska estetyki niejedno może zarzucić temu utworowi, może brak prostoty, pewną deklamację i frazeologję, ze stanowiska jednak narodowego, małe to dziełko godnem jest, aby je postawiono na czele wszystkich dzieł tego autora, pomiędzy któremi znajdują się przecież i arcydzieła.

Ten śpiew ostatni, długo w ukryciu chowany, zmienia prawie że zupełnie dotychczasowe zapatrywania na polityczny charakter Korzeniowskiego, według których „nie mógł i nie chciał on, ani sam zbaczać, ani społeczeństwa swego prowadzić do krainy, w której zapał tworzy cudy, w której serce łamie, czego rozum złamać nie może".

„Nasza prawda" jest dowodem, że człowiek, któremu niejednokrotnie zarzucano „ciągłe apoteozowanie rozsądku i użyteczności, kosztem najdroższych marzeń i najszlachetniejszych uniesień", był szczerym, żadnej ugody z wrogiem nie uznającym Polakiem, pomimo że w życiu nie chciał czy nie mógł okazać się takim, jakim był w rzeczywistości.

*Franciszek Jaworski.*



11)

# ZAJĄC.

**POWIEŚĆ**

przez

*Adolfa Dygasińskiego.*

Z chartami Węglickiego, wypłosza z okolicy, zwierzyna nie potrzebowała się liczyć, podobnie jak z Trezorem, wyżłem felczera Chyleckiego, psem, pozbawionym wzroku i węchu. Bekas, wyżeł kucharza, miał nie jedno, ale i swoje myśliwskie stanowisko zawdzięczał łaskom pana raczej, niż własnym zdolnościom. Wogóle mówiąc, praca różnych psów wyglądała tu na spychanie, robotę za pańszczyznę. Bardzo nieliczne są psy utalentowane, które z zamiłowaniem uprawiają sztukę i całe swoje psie ja w nią wkładają, ażeby panu szczerze przyjść w pomoc.

Rzetelnie prawdziwą samodzielność myśliwską i istotny zapał ujawniały w Morzelanach głównie dwa psy—kłusowniki: Burek, pies księży, i Nero—kucharski, oba z usposobień jeden do drugiego niepodobne wcale.

Ów Burek był to warchoł, szalony zapaleniec, gotów do najwyższych poświęceń, do samozaparcia, jeśli mu szło o dogodzenie namiętnym chuciom myśliwskim—ten miał żyłę! Całkowita ludność plebanji zgodnie podała sobie ręce, ażeby udomowić psa rozwydrzonego, i nic a nic nie wskórano; noc w noc kłusował po polach, lasach. Gospodyni księża dowodziła z niewzruszoną stanowczością, że „takiego kondla bić i bić, ile tylko skóra wytrzyma, to mu się nareszcie musi odechcieć balowania". Zasady te wygłaszała bardzo przekonywająco, a parobek Maciek, prawa jej ręka, ściśle działał w duchu owych zasad. Obity kijem, srodze sponiewierany, Burek poskomlił, posmucił się, a wieczorkiem namiętność znowu odzyskiwała siłę i gnał na polowanie. Z kolei rzeczy spadała nań kara obostrzonego postu, co ku zdziwieniu wszystkich wydawało jak najgorsze skutki. Oczekiwano od psa pokory, uległości, a tymczasem pies, przyciśnięty głodem, rzucał się na garnki przy ogniu i z pod ręki kradł, co się ukraść dało. Więc za to znowu sypano mu wały, zawsze w nadziei, że się poprawi; pies jednak ciągle trwał w błędach—zakamieniały grzesznik.

Gospodyni poleciła trzymać go czas jakiś dniem i nocą na łańcuchu w budzie. Burek miał na to sposób: wył nadzwyczaj smutnie, przeraźliwie. „Jeszcze nieszczęście jakie sprowadzić gotów"—mówili zatrwożeni mieszkańcy plebanji, którym wycie psie spać nie dawało, a serca napełniało obawą pomoru, ognia, głodu i wojny. Nareszcie zawieszono mu u szyi gruby kloc z drzewa, który utrudniał psu chodzenie i za każdym krokiem walił go mocno po nogach.

I to nawet nie oddziaływało na Burka powstrzymująco: co noc odbywał wyprawy łowieckie, a dom zostawał bez stróża. Przecież polowanie na zające nie mogło mieć na żaden sposób powodzenia: klocek uniemożliwił ściganie! Wielka jest siła znałogowanej namiętności.. Szalała ze złości gospodyni księża, słysząc, że w okolicy różne domy stawały się ofiarą nocnych kradzieży, a Burek nic nie dbał o plebanję.

Postąpiła, jak lekarz albo pedagog: ponieważ nowe środki nie działały, zwróciła się do dawnych i wydała rozkaz: „Maciek bij!“ A Maciek „rznął psu dudy, psuł mu skórę“, aż sobie to nareszcie zbrzydził i dał spokój. „Narowisty, nieposłuchany psia-jucha! Ani kij, ani nic, jeno chce łachać... Co takiego bić po-próżnu, skoro się uparł i nie myśli zmądrzeć?“...

Wobec tego opuściła gospodyni ręce, zaczęła poszukiwać innego stróża domu, a Burkowi zostawiono już swobodę postępowania, skrępowaną jedynie klockiem u szyi.

Na tego psa oddawna wydano wyrok śmierci; mianowicie zarząd dóbr morzelańskich polecił był Malwie zastrzelić szkodnika. Cóż kiedy pobożny i bogobojny Malwa rozważył sobie w duszy, że swoją drogą należy wypełniać rozkazy dworu, a swoją drogą pamiętać o przykazaniach boskich i kościelnych. Skrupuł strzelca tak się przedstawiał: „Kiedy on jest pies plebański, to z pewnością, jeżeli przyjdzie co do czego, i od kościoła nieraz złodzieja odstraszy. Strzelaj-że tu dopiero do takiego! Łatwo im rozkazywać—zastrzel!.. Czemuż kto inny go nie zastrzelił?.. Spowiadaj się potem: „zastrzeliłem psa plebańskiego!“ Oo, nikt mię nie zmusi!“ Miał więc pies przynajmniej ze strony strzelca pasport bezkarności na polowanie w Morzelanach.

Tego Burka należy uważać jako psa, który się minął z powołaniem i miał złamane przez ludzi życie, a jednak natura ciągnęła wilka do lasu. W taki sposób marnują się talenta.

Coś podobnego możnaby powiedzieć i o Neronie, koledze Bekasa. O ile z powierzchowności da się wnosić, był to mieszaniec, w którym płynęła krew francuskiego setera i wodołaza. Nero, pies rosły, wybornie zbudowany odznaczał się ubarwieniem srebrzysto-białem z łatami kasztanowatemi, włosem pięknie karbowanym, spojrzeniem wymownie rozumnem. W czasie, do którego się stosuje to opowiadanie, Nero nie był surowem dzieckiem natury, psem, umiejącym jedynie szczekać i skomlić. Posiadał on w całej rozciągłości to wykształcenie, jakie zwykle odbierają wyżły, od dzieciństwa pozostające w dobrych rękach. Jako pies zupełnie fachowy, z kierunkiem doskonale wytkniętym, znał na wylot wszelkie tajemnice zawodu. Co to było za ułożenie!... Więc też ze zdziwieniem w oku spoglądał nieraz Nero na Bekasa, kiedy obniuchywał mysie jamy, a spojrzeniem zdawał się mniej więcej taką myśl wyrażać: „Kolego, gdzieś się ty wychowywał? Jakże można tak upośledzać swoje stanowisko i szlachetny nos wyżli wtykać w jamę mysią?“

Nero z powagą piastował godność psa legawego, a nie należał bynajmniej do rzędu tych wyżłów, które przez pochlebstwo, nadskakiwanie usiłują pozyskać względy panów. Obce mu były i nie odpowiadały jego duchowemu nastrojowi owe czułostkowe łaszenia, przmilania się psów-pieszczochów, co to liżą ręce, stopy, a wyskakują przed panem, a szczerzą zęby i pogłaskane skomlą z rozkoszy. On nigdy uczuć wierności, przywiązania do chlebodawcy nie wylewał w taki sposób. — Przyzwany po imieniu, stawał przed panem, merdnął dwa, trzy razy ogonem i wzrokiem zdawał się zapytywać: „Chciałbym dokładnie wiedzieć, po co mianowicie wezwano mię tutaj?“ Kto tam wie, czy niezależnie od wychowania, na dnie psiej duszy, nie czaił się kawałek buntownika psiego. Jaki pan całą gębą, umiejący i w ludziach oceniać niezależność, godność osobistą, uwzględniłby zapewne psi charakter Nerona. Ale czegoż się można było spodziewać po panu Filipie, kucharzu z duszą poziomą, z mózgiem płaskiem, jak kotlet? Za swoje jakoby zbyt wygórowane pojęcia o stanowisku wyżła, Nero od czasu do czasu dostawał kije, które — jak powszechnie wiadomo — są dotkliwe fizycznie i moralnie. Już szafarz morzelański, myśliwy starszej daty, rzucił był światło na zapędy myśliwskie pana Filipa, wyrażając się uszczypliwie: „Inna to sprawa wsadzać zająca na rożen, a inna nań polować... — Żaden oprawca nie ułoży wyżła“.

Podobnaż gruntowność przebijała się także w stosunkach Nerona z innemi psami. Dla psów niepełnoletnich, które dopiero co wyszły ze swego szczenięctwa i tylko figle miały we łbach, okazywał bardzo dużo wyrozumiałości, i pobłażania. Taki Parolek, syn jego, czy Bob, kształcący się na stróża domowego, mogły łazić mu po głowie, szarpać go za uszy; a on leżał nieporuszony i nigdy, nigdy im zabawy nie popsuł jakiemś gniewnem warczeniem, oburzeniem. Pies znowu, zgrzybiały pinczer, ulubieniec panienek, i Popol, stary jamniczek, w obecności jego bezpiecznie zajadały przysmaki, które im dawała Joasia, zwana psią matką. Nero spoglądał na to bez najmniejszej zazdrości, a co dziwna — nigdy żademu psu nie wyrwał z zębów kąska. Zjawiały się pod pałacem psy obce, tacy wędrowcy, co to bez żadnych złych zamiarów, wiedzeni prostą ciekawością, przychodzą zobaczyć, jak też jest tam we dworze.

Biedaków tych Nero nie prześladował, nie zrywał się z gorączkową gwałtownością, właściwą innym psom dworskim, gdy na swych śmieciach ujrzą żebraka-przybłędę. Nawet po-

budzony przez rozkaz pański „huź-go!“, nie kwapił się zbytecznie, dając niejako do zrozumienia: „Przecież nie jest mojem zadaniem wypędzać psy z dziedzińca za bramę.“ Jeżeli go jednak napadł jakiś pies awanturnik, umiał się wtedy dzielnie postawić i już niejednego zuchwalca zawali-drogę nauczył rozumu.

Cóż się stało, że Nero, pełen cnót psich, wyżeł zawsze na swojem miejscu, został żarliwym kłusownikiem i szedł o lepsze z Burkiem plebańskim? Przeobrażenie nastąpiło tu w myśl przysłowia: „Jaki pan, taki sługa“. — Wyżeł przez jakiś czas spełniał wzorowo myśliwskie obowiązki w polu, ale kiedy pan Filip raz, drugi i dziesiąty spudłował, pies, przywykły u poprzedniego pana do strzałów celnych, zaczął teraz lekceważyć sobie polowanie z myśliwym partaczem. „Na jedno wychodzi, czy ja mu dobrze, czy źle służę“.

Kucharz spostrzegł, że pies poniekąd drwi z niego i przedsięwziął środki, będące powszechnie w użyciu przez małodusznyoh panów: łajał, klął, katował wyżła i, ma się rozumieć, zbierał stąd jaknajgorsze owoce.

Ostatecznie pan Filip wziął sobie za pomocnika niejakiego Bekasa, psa najzupełniej wyrozumiałego na wszelkie błędy pryncypała.

Nero, usunięty od obowiązków, nie umiał gnuśnieć w bezczynności i to są rzeczywiste powody, które go pchnęły do kłusownictwa, to jest — rozrywki myśliwskiej, a jak chcą inni — rozboju myśliwskiego. Sam sobie teraz wystawiał zające i niedołężniejsze łowił.

Malwa spotykał się nieraz z Neronem na polowaniu i myślał: „Pies dworski, zające dworskie i ja — dworski...“

Miało to znaczyć, że strzelcowi dworskiemu i psu dworskiemu wolno polować na zające dworskie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

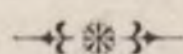


# LILI.

ŻAŁOŚNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.



Zakrzewski się nim zajął, ale nie wiedział co robić, a że przytem sam był do największego stopnia zdenerwowanym i nie miał pieniędzy, więc siedział przy nim bezradnie i czekał rana. Ale noc szła strasznie wolno, wlokła się nieskończenie, po tysiąc razy patrzył przez okno na schmurzony, poświstujący wichrami świat, i po tysiąc razy, z rozpaczą widział jednaką wciąż ciemność i pustkę na ulicach; myślał już chwilami, że dzień nigdy nie nadejdzie.

Olkowski leżał już zupełnie cicho, nie krzyczał, nie rzucał się nawet, był zupełnie bezprzytomny, spieczonemi ustami poruszał bezustannie, ale bezdźwięcznie, a z otwartych szeroko oczów wypływał od czasu do czasu strumień łez i zasychał na poczerniałej, chudej twarzy.

Jak tylko świt się zrobił, Leon sprowadził doktora, który krótko zadecydował, że to najzwyczajniejszy tyfus, jeśli nie zapalenie mózgu i wkrótce przysłał ludzi, którzy zabrali chorego do szpitala.

Zakrzewski, przemęczony tylu wrażeniami, poszedł spać, ale już o dziesiątej obudził go Korczewski, który przyszedł powiedzieć, że czas już iść z benefisem.

Leon pomimo znużenia wstał i ubierał się spiesznie.

— A to co? Któż poniszczył to wszystko? — zawołał Korczewski, patrząc na podłogę, pokrytą szczątkami.

— Olkowski z taką radością przyjął dary publiczności, że zostały tylko szczątki.

— Idjota, jak Pana Boga kocham! Pieniądze nawet podarł! Patrz pan, podarte ruble!— krzyknął oburzony, zbierając z podłogi szczątki banknotów.

— No, więc cóż! Podobało mu się, to i podarł. Czy przysłali i wam?

— Przysłali. Bardzo porządni ludzie.

— Pan wziąłeś?

— A dlaczegoby nie! Jest u mnie paczka dla Lili, bo one nie wróciły jeszcze, a mieszkanie zamknięte.

— Byłeś pan u nich dzisiaj? — zapytał żywo.

— Ztamtąd idę właśnie.

— Jestem gotów, możemy iść. Masz pan bilety i afisze?

— Mam wszystko!

Korczewski się przeżegnał na szczęście i poszli.

* * *

Przez miasto szli z miną ludzi, używających przechadzki, a dopiero za rzeką, na szosie, Korczewski wyciągnął swój szal bronzowy i okręcił nim głowę i szyję, a Zakrzewski postawił swój kołnierz od palta, bo mróz był siarczysty. Słońce świeciło jasno, a długi szlak szosy, utartej znakomicie płozami sań, skrzył się migotliwie i chrupał pod nogami.

Maszerowali wyciągniętym krokiem i w milczeniu. Korczewski obliczał benefisowe szanse, a Leon patrzył na olbrzymią płachtę pól olśniewająco białych, jaka ich otaczała ze wszystkich stron, lub hardo, wyzywająco przyglądał się przelatującym mimo sankom i ludziom. Czuł przytem jakąś dziecinno-dziką radość, że

on, obywatelski syn, człowiek zamożny, człowiek, mogący mieć na zawołanie setki koni i powozy, teraz oto, w ten świąteczny dzień zimowy, idzie pieszo, jak hołysz ostatni, idzie prawie po żebraninie, bo czemże są w istocie podobne benefisy?

— To dla ciebie i przez ciebie!

Myślał o Lili. Ale ruch, surowe powietrze, szczypiący mróz, i te wielkie przestrzenie pól dookoła zabierały mu coraz więcej uwagi, aż w końcu już nie myślał o niczem, tylko z przyjemnością spoglądał w złotą tarczę słońca, zawieszoną na bardzo bladym błękicie, to na śniegi, po których wśród skrzeń brylantów i szafirów leżały płaty bladego złota i przelatywały seladynowe smugi słonecznych refleksów.

Sinawa smuga lasów zamykała horyzont, a na tej olbrzymiej, białej płaszczyźnie pól, siedziały ciche sznury wiosek, przywartych nizko do ziemi i dyszących różowawemi słupami dymów, wiły się nieskończone miedze, pełne kamionek, obrośniętych tarniną, siedziały rozłożyste, obsypane brylantowym szronem grusze, czerniały gdzieniegdzie w łąkach oparzeliska bagniste, nad któremi pochylały się czarne, posępne olchy, mignęła czasami lustrzana tafla stawów zamarzniętych.

Cisza była nieobjęta, ale pełna czaru dnia mroźnego, pełna nieznanych szmerów, skrzeń, błysków i rzeźwej radości; czasem stado kuropatw przebiegło im drogę i zapadło naraz, nawołując się zawzięcie, albo wrony leciały gdzieś daleko, zapatrzone w słońce.

— Skręcamy na lewo! To Smardzew państwa Kozłowskich. Sześćdziesiąt włók, długów mało, dwie córki i żona lubią się bawić — odezwał się Korczewski, czytając z kartki objaśnienia o właścicielu.

Skręcili zaraz na ledwie przetartą dróżkę, obsadzoną dwoma rzędami brzezinek, w połowie powyłamywanych. Już z daleka, wprost drogi, widniał wysoki dwór i migotał w słońcu oszkloną werandą i kilkunastu oknami, wielki ogród rozciągał się z jednej strony, a z drugiej poza wysokim żywopłotem ze świerków, widać było dachy licznych zabudowań gospodarskich.

— Niech mi pan pozwoli mówić, niech pan tylko czasem przytakuje, jeśli się zwrócę do pana, i niech pan żadnych min nie robi, bo ze szlachcicami trzeba rozmaicie mówić, aby trafić do ich kieszeni.

— Dobrze, bo nie wiedziałbym od czego zacząć.

W bramie opadła ich cała sfora psów, którą Zakrzewski musiał uspakajać; przestały wreszcie ujadać i całą gromadą odprowadziły ich pod sam dwór, w którego oknach pokazało się kilka twarzy i zniknęło natychmiast.

Weszli do werandy, a równocześnie od środka zjawił się nizki, tęgi jegomość, śpiesznie wycierający ręce o marynarkę.

— Czy mamy zaszczyt mieć przed sobą szanownego dziedzica Kozłowskiego? — zaczął Korczewski — bardzo kordjalnie potrząsając jego dłonią.

— Do usług, panie tego i owego, do usług. Proszę panów dalej, bo tutaj zbyt zimno.

Uchylił drzwi i wpuścił ich do pokoju pierwszego zaraz za werandą. Korczewski najspokojniej odkręcał z szyi szal i ściągał okrywkę; szlachcic czekał, pokręcając wąsa i nieznacznie nogą wpychał pod kredens kilka par trzewików, stojących zbyt na widoku; a Zakrzewski, rozebrawszy się, patrzył ciekawie na stół,. stojący na środku i pokryty talerzami z niedokończonem śniadaniem na kilka osób. Jakaś włóczkowa biała chustka jeszcze się chwiała na poręczy krzesła, zostawiona w pośpiechu. Samowar szumiał na stoliku.

— Szanowny dziedzicu dobrodzieju! Mam honor się przedstawić: Korczewski, artysta dramatyczny i dyrektor towarzystwa, a oto kolega ze scen lwowskiej i krakowskiej, przybyły do nas na kilka gościnnych występów.

Szlachcic szarpnął wąsa, przestał wpychać trzewiki i wskazał im krzesła.

— Przyjechaliśmy do dziedzica dobrodzieja, jako do znanego w okolicy mecenasa i protektora sztuki, z zaproszeniem na czwartkowy nadzwyczajny spektakl. Będzie to gościnny występ i zarazem benefis kolegi. Gramy „Gniazdo rodzinne“ Sudermana. Służę afiszem. Sztuka — arcydzieło, jak zapewne szanowny dziedzic już słyszał z angielskich i francuskich gazet, a jak się we czwartek będzie mógł szanowny pan osobiście przekonać. Panu dobrodziejowi służyć ilu bilecikami? Pewnie cztery w pierwszym rzędzie? No tak, bo i córeczek pan dobrodziej nie pozbawi uczestniczenia w tej prawdziwie artystycznej biesiadzie. Będzie to biesiada w całem tego słowa znaczeniu. Ręczy za to i autor, członek akademji francuskiej, i benefisant. Nie rumień się, kolego, bo wiemy co o waszej genjalnej grze pisały gazety niemieckie. Więc cztery bileciki? Dobrze? Przy przejściu, żeby było wygodniej? — pytlował jednym tchem Korczewski, nie dając przyjść do słowa szlachcicowi, który pokręcał wąsa i oglądał się niespokojnie na drzwi.

— Zimno, siarczyste zimno, a śniegi po pas. Ale, jak mawiał mój ś. p. dziadek, kasztelan, „W styczniu mrozy i śniegi — w sierpniu stodoły po brzegi“. Łajdackie zimno! Chcieliśmy we wsi dziedzica dobrodzieja wstąpić na rozgrzewkę do karczmy — karczmy niema! — Przeżegnałem się, jakoto może być polska wieś bez karczmy! Powiadają nam, że dziedzic, aby uchronić ludność od pijaństwa, karczmę skasował, chociaż przynosiła mu wielki dochód! To chyba pierwszy podobny fakt u nas! Na kamieniu żeby się nam rodzili podobni ludzie, na

kamieniu!... — Nie powozem jechaliśmy, więc przemarzłem do kości...

Zaczął grzać ręce przy samowarze, a patrzył na pękatą butelkę z wódką, stojącą na stole...

(Dalszy ciąg nastąpi.)



## Z pism i książek.

*Nowe pismo.* Okazowy zeszyt *„Przeglądu Słowiańskiego“* (Slovanský Přehled), miesięcznika, który zaczął wychodzić pod redakcją Adolfa Czernego, opuścił już prasę. Pozostawiając do chwili późniejszej bliższe omówienie wybornego pisma, które niewątpliwie epokalne mieć będzie znaczenie, ograniczamy się dziś do podania niezmiernie obfitej i urozmaiconej jego treści.

W słowie wstępnem Redakcja zaznacza, że jakkolwiek świadomą jest trudności, które jeżą się przed nią, niby skały, grożące rozbiciem, śmiało jednak przystępuje do dzieła, bo gwiazdą przewodnią służy jej „miłość ku braciom słowianom i miłość dla prawdy“. Z wiarą w potęgę tej gwiazdy, jako też w poparcie wszystkich ludzi dobrej woli, pracować będzie w myśl idealistów słowiańskich, Edwarda Jelinka i Michała Hornika, których świętej pamięci poświęca pierwszy rocznik swego pisma.

Szereg artykułów rozpoczyna w „Przeglądzie Słowiańskim“ praca J. Baudouina de Courtenay p. t. „Słowacy a korona św. Szczepana“, po niej następują artykuły: K. Stepanka o jubileuszu Bielińskiego i Władysława Mickiewicza „O rękopiśmie Ksiąg Pielgrzymstwa Polskiego“.

W dziale korespondencji mieszczą się listy, przez wprawne i świadome rzeczy pióra pisane, z Łużyc, Warszawy, Lwowa, Paryża, Odesy, Dalmacji, Karyntji i Wiednia.

W sprawozdaniach i przeglądach omawiają się jubileusze: Tołstoja, Bielińskiego, Mickiewicza, sprawy Muzeum Rappersvylskiego, ks. Poznańskiego i t. d.

W przeglądzie czasopism redakcja poświęca uwagę krakowskiemu „Życiu“, nowym czasopismom polskim i południowo-słowiańskim, wydawnictwom warszawskim dla młodzieży, bieżącej literaturze czeskiej i t. p.

Rubrykę: „Literatura, nauka i sztuka“ rozpoczyna wyczerpująca praca dra Iwana Franki o literaturze ukraińskiej, a po niej następują treściwe referaty z książek. Omawiają się tu mianowicie „Iskry“ Orzeszkowej, „Słownik języka polskiego“ i słownik czesko-polski, francuski przekład „Pana Tadeusza“ jakoteż nowości literackie innych narodów słowiańskich.

Zeszyt zamyka sprawozdanie z wystawionej w Pradze sztuki Sewera „Marcin Łuba“ w przekładzie Adolfa Czernego.

Sympatycznemu pismu, które tak świetnie rozpoczyna swój zawód, wołamy „Na zdar!“ a okrzyk nasz powtórzą niewątpliwie wszystkie usta, wszystkie serca polskie.

*„Życia“* numer najświeższy, podwójnej objętości, przynosi sporą wiązankę nader zajmujących artykułów. Jest to pierwszy numer, który wyszedł pod nową redakcją, — pod redakcją Stanisława Przybyszewskiego. Imię autora „Homo sapiens“, głośne w Niemczech, u nas od niedawna i z paru zaledwie drobiazgów jest znane. Pan Przybyszewski tworzył dotąd wyłącznie w języku niemieckim, wzbogacał literaturę niemiecką płodami swego pióra. Tak było, ale tak już nie jest. Autor „Satanskinder“ wrócił do kraju, stanął do pracy na niwie rodzimej, która rąk umiejętnych a dzielnych potrzebuje bardzo... Że fale germanizmu nie pochłonęły go — to rzecz naturalna: był na to za silny, za wielki — podziw budzić może jedynie fakt, że przebywając tak długo wśród obcych, że myśląc, mówiąc i pisząc po niemiecku, nie skaził języka ojczystego, że włada nim jako mistrz.

Posłuchajmy dla przykładu prozy Przybyszewskiego choćby w jakimś ustępie z „Wigilji“, umieszczonych w omawianym numerze „Życia“. Poeta cofa się tu myślą wstecz, serce jego „rozpala się wspomnieniem, jaśnieje przebłyskami ognia, co w najtajniejszej głębi duszy się żarzy“ i taki oto obraz wstaje w jego pamięci:

„Zmrok wieczorny w kościele wiejskim. Głęboka cisza. Cisza oczekiwania czai się na sklepieniach i ścianach, cisza w parnem upojeniu kadzideł, cisza w głuchym, jakoby podziemnym odgłosie organów.

„Kamienne filary rzucają gęste cienie, ostre i czarne plamy przy głównym ołtarzu, co się w blasku setek świec jarzy, niejasne i rozpłynięte w średniej nawie, a pod chórem rozlane w ciepłych pieszczotach półmroku. A jakby odległe drganie powietrza rośnie coś i płynie przez kościoł, wznosi się, jakby cichе westchnienie, pręży się jak tygrys, przysadzony do skoku, a naraz pęka cisza, ryknęły organy, a z żelaznych objęć ciszy i czekania wyrywa się pieśń straszna, potężna, — pieśń co mury rozpiera i groby rozsadza, pieśń bólu i dnia sądnego: „Salve Regina“.

*Jana Kilińskiego* „Drugi pamiętnik o czasach Stanisława Augusta“ z rękopisu poraz pierwszy wydał A. Kraków. Nakład i druk Anczyca i spółki 1899. str. 294 in 4-o. Jest to obszerne rozwinięcie znanych Pamiętników wodza mieszczan warszawskich. Pierwszy zarys swych wspomnień szewc-bohater skreślił, jak wiadomo, w Petropawłowskiej twierdzy, zachęcony do tej pracy przez towarzysza niedoli — J. U. Niemcewicza. Niniejsze dzieło powstać musiało według wszelkiego prawdopodobieństwa już po powrocie Kilińskiego z niewoli moskiewskiej do Warszawy. Obejmuje ono okres czasu od wojny z Rosją w r. 1792 w obronie konstytucji do upadku Kościuszkowskiego powstania i jest — jak słusznie zaznacza w przedmowie wydawca — fotografją wypadków spółczesnych, pochwyconą przez człowieka, który o warunkach dziejopisarskiego kunsztu najlżejszego wprawdzie nie miał wyobrażenia, lecz posiadał natomiast zdrowy rozum, duszę wielką, ofiarną i brał czynny udział w momentach historycznych, które opisuje.



Z drukarni K. Wiesnera we Lwowie, Akademicka 16.